

Buffalo 29 sierpnia 1991r.

Teresa (Burek) Oszurko
26 Academy Rd.
Buffalo, N.Y. 14211-2622

U.S.A.

tel.: 895-9489

(716)

Trudno po pięćdziesięciu latach pisać wspomnienia z lat dzieciennych. Wielu spraw, dat i miejscowości już dziś nie pamiętam.

Ponieważ chodzi tu głównie o okres pobytu w Rosji, zacznę od naszego aresztowania 29-go czerwca 1940 r.

Muszę jednak nadmienić, że wojna zastała nas w Lubaczowie, gdzie spędzaliśmy wakacje, a nie w Bydgoszczy, miejscu naszego zamieszkania. Tatuś, który pracował w biurze komendy garnizonu, został odwołany z urlopu i dopiero po kapitulacji polskiego wojska walczącego na dwóch frontach, wrócił do Lubaczowa.

Po ustaleniu granicy niemiecko-rosyjskiej na terenie Polski, mieliśmy szansę powrotu do Bydgoszczy, ale zanim zdążyliśmy to zrealizować, Rosjanie zamknęli granicę na skutek niemieckiej odmowy przyjęcia Żydów, którzy nie wiadomo czemu starali dostać się pod ich zabór.

Areszt jak zwykle odbył się nocą. Kazano nam zbierać manatki, ale ilość bagażu była bardzo ograniczona. Wkładaliśmy więc na siebie co się dało, aby zabrać jak najwięcej odzieży, mimo zapewniania aresztującego oficera, że w Rosji jest obfitość wszystkiego. Jako roztropna jedenastolatka pobiegłam do piwnicy po zimowe buty a za mną szedł żołnierz z bagnetem żeby nie uciekła. Mamusia w ostatniej chwili złapała zdjęcia, które mamy do dziś i kapelusz-wbrew swojej przyrodzonej praktyczności.

Na stacji byliśmy załadowani do towarowych wagonów w których dla zwiększenia pojemności zbudowano prycze. Za toaletę służyła dzióra w podłodze. Było to dla nas niezmiernie krępujące, mimo prowizorycznego parawanu z koca, trzymanego w razie potrzeby przez kogoś z rodziny. Ze znajomych, których widzieliśmy na stacji, w naszym wagonie była tylko jedna pani z małym synem. O losach jej męża nikt w ten czas nie wiedział.

Wagony były zaryglowane aż do przekroczenia granicy polsko-rosyjskiej, gdzie na pierwszym przystanku pozwolono nam iść do "sławojki".

Po powrocie do wagonu zauważyliśmy, że brak jednej Żydówki. Gdy pociąg zaczął ruszać jej mąż wyskoczył z pociągu i chwycił bufory wagonu żeby

wstrzymać pociąg i wołał: Hoo Majdały, HOO Majdały! Naturalnie bez - skutecznie. Przemocą wciągnęliśmy go do wagonu. Nam młodym zdawało się to bardzo śmieszne, ale dla niego była to czarna rozpacz. (Dużo później dowiedzieliśmy się, że Majdały wróciła do Polski.)

Po minięciu Harkowa po raz pierwszy dostarczono nam jakiśkolwiek pokarm w postaci jaglanej kaszy opływającej łojem. Zanim dorosli zdecydowali co zrobić z tą nieapetyczną kaszą, pociąg szarpnął (nigdy normalnie nie ruszał i zawsze bez uprzedzenia) i mały dzieciak siedzący na nocniku spadł z górnej pryczy prosto do kubła z kaszą. Nie wiedzieliśmy czy się śmiać czy płakać. Na szczęście mieliśmy jeszcze zapasy żywności przemycone do pociągu przez krewnych i znajomych, zanim opuściliśmy Lubaczów.

Podróż trwała niestetychance długo. Wolno mijały dni i nieprzespane noce. Chyba najbardziej dokuczał nam brak przestrzeni.

Na jednym z postojów w małym miasteczku moja starsza siostra wyskoczyła z wagonu, aby stanąć w kolejce po chleb. Pilnując swego miejsca nie zauważyła, że pociąg zaczął ruszać. Pobiegnęła po nią mamusia i obie wciągaliśmy w biegu do wagonu. Wiadomo było, że gdyby siostra została więcej byśmy jej zobaczyli.

Nie jestem pewna, ale zdaje mi się, że w Kujbiszewie przetadowano nas na ciężarówki pędzone drzewem. Przed odjazdem dostaliśmy po kawałku chleba czarnego i ciężkiego jak glina. Podczas gdy nasi rodzice zastanawiali się czy ten chleb nam przypadkiem nie rozstroi żołądka, rosyjscy szoferzy zachwalali, że chleb smaczny jak z omastą. Szoferami były przeważnie kobiety i trzeba przyznać, że doskonale prowadziły krętymi leśnymi drogami. Wprawdzie przy przejeździe promem ciężarówka o mało nie wpadła do rzeki, ale to nie była wina szofera. Dalsza podróż odbyła się bez większych tarapatów i "szczęśliwie" dojechaliliśmy do Pawłowskiego Rejonu w Altajskim Kraju. Reszty adresu nie pamiętam.

Oczom naszym ukazał się wyręb w lesie na którym stało kilka baraków. Jeden z nich mieszkalny, a inne pomniejszych: mały sklepik, pralnia i bania czyli łaźnia. Zanim pobudowano drugi barak, po dwie rodziny mieszkały w jednym pokoju, mieszczącymi dwa łóżka. W naszym wypadku dziesięć osób. I byłby człowiek odetchnął wolną pierśią po otrzymaniu własnego pokoju, gdyby nie pluskwy, których nie brakowało mimo nowości budynku.

Na drugi dzień po przyjeździe pogoniono nas do pracy w lesie.

Aby zachęcić nas do zwiększenia produkcji (co było ponad nasze siły) władze miejscowe postanowiły dać najszybszym robotnikom czyli tzw. stachanowcom pozwolenie na kupno rządowej krowy. (Bo jak inaczej? Tam wszystko należało do rządu.) Mój ojciec nie był szybki, ale dokładny, więc nasz majster, który był zacnym człowiekiem przekonał władze, że nam też należy się wynagrodzenie. Krowa ta była prawdziwym błogosławieństwem. Mieliśmy mleko którym mamusia starała się dzielić z innymi. Jednym z nich był podrabin z młodym synem i córką. Wszyscy troje niedołąźni nie będący w stanie dorównać ciężkim warunkom w jakich się znaleźli. Poza tym rodziny gdzie byli sami dorośli i otrzymywali większą porcję chleba wymieniali go za mleko. Część tego chleba szła na suchary na czarną godzinę.

Zanim spadł śnieg nasza krowa pasła się w lesie. Zimą karmiliśmy ją sianem zebrany z pobliskich łąk leśnych. Mimo naszego wysiłku siana w końcu zabrakło, więc trzeba je organizować z sań odwiedzających nas od czasu do czasu rosyjskich przedstawicieli rządowych.

Któregoś dnia zjawiła się komisja zdrowia i dawaj nas namawiac do kupienia wody kolonskiej - dla higieny. Widocznie źle skierowany transport dotarł do nas i chcieli się go pozbyć. W odpowiedzi na to, jeden z mężczyzn przyniósł kopcającą się lampę naftową i pokazał im ich higienę, zapytując gdzie są szkła do lamp naftowych. Nie mieli na to odpowiedzi i odjechali nie wiedząc ile zostawili siana.

Gdzieś w połowie zimy jedna z żydowskich rodzin została zawiadomiona o paczce żywnościowej przysłanej przez czerwony krzyż, po którą mieli się zgłosić na pocztę oddalonej o kilka kilometrów. Pan M. pospieszył na pocztę, ale na miejscu odkrył, że ktoś zamienił żywność na kamienie. Żyd płacząc przeklinał Sowiecki Sojusz i groził powiadomieniem czerwonego krzyża o złodziejstwie. Po kilku dniach go aresztowali i więcej nikt o nim nie słyszał.

Powoli zaczęły nadchodzić paczki z Polski. Między innymi do nas przysłała przez rodzinę ojca. Mamusia z moją starszą siostrą - Olenką - natychmiast wybrały się na pocztę. Naturalnie za specjalnym pozwoleniem.

Był to mroźny, zimowy dzień, ale mimo odczuwanego zimna brnęły dzielnie przez śnieg z nadzieją, że paczka będzie nienaruszona. Po drodze do dogoniły je sanie z młodym człowiekiem i starszą kobietą. Ponieważ mieli miejsce tylko na jedną osobę, zgodzili się zabrać Olenkę do Inji, gdzie znajdowała się poczta. Mamusia dążyła za nimi na piecotę martwiąc się, że puściła siostrę z obcymi ludźmi.

Mężczyźni nacinali drzewa, kobiety i dzieci - które pragnęły otrzymać dodatkowy tałon na chleb - zbierały żywicę spływającą naciętymi rówkami do doniczek. Napełnione wiadra niosło się do ziemlanek, gdzie wylewało się żywicę do beczek. Nikt nad nami nie stał, więc staraliśmy się jak najczęściej odpoczywać. Mimo tego po całym dniu pracy bolały wszystkie mięśnia i plecy, a rękę trzymającą "wybieraczkę" trzeba było otwierać przy pomocy drugiej.

Zimą piłowaliśmy drzewo (ręczna piła naturalnie) na krążki, które rąbało się na tzw. ciuroczki do pędzenia ciężarówek. Opłata za naszą ciężką pracę - na akord - zaledwie wystarczała na wykupienie chleba. Kipiatok czyli wrzątek był gratis. Część naszych zarobków szła na pokrycie kosztów naszej "wycieczki" do Rosji. O ironio losu! Oni nawet mieli bezczelność żądać od nas opodatkowania się na rosyjskie lotnictwo.

Latem brak wyżywienia uzupełnialiśmy jagodami, grzybami i innymi jadalnymi roślinami leśnymi. Poza tym wymieniało się ubranie za kartofle w pobliskich wioskach. Mieliśmy swobodę poruszania się w okregu kilku mil, ale tylko w dzień wolny od pracy czyli co jedenasty. Nie było obawy, że uciekniemy, bo gdzie? Większość dni wolnych wykorzystywaliśmy na odpoczynek i próby wytępienia pluskw, które nie dawały nam spać, ale był to daremny trud.

Pamiętam wyzwanie jak dziś wyzwanie z polską żydówką, która była na zsyłce z dwoma synami. Otóż Hana zdecydowała pójść na wieś w dzień pracy. Los chciał, że w powrotnej drodze spotkała N.K.W.D.zistę, który był komendantem naszego obozu. Ten, jej ciężko zdobyte kartofle wyrzucił na ziemię i zaczął je deptać. Hana no to chwyciła ciężką pałę i nuż go okładać po głowie. Komendant uciekł, ale po kilku dniach Hana została zaskarżona o opuszczenie uczstka w dzień pracy. (Do pobicia nie przyznał się) Sąd odbył się w pralni. Rozprawa szła uporczywie, bo Hana nie miała zamiaru odpowiadać na pytania prokuratora. Po dłuższym milczeniu wyciągnęła kleszcza z górnej części ciała ispościła go siedziemu na papierze mówiąc: Ot wasza cała chudoba. Wybuchnęliśmy śmiechem, więc nas wyrzucono i sąd skończył się przy drzwiach zamkniętych. Zapadł wyrok aby odciągać jej dziesięć procent od zarobków, ale Hana nie należała do głupich więc większość wykonanej dniówki zapisywała na syna, który z nią pracował. Nasz majster będąc porządnym człowiekiem przymykał na to oczy.

Nie było obawy, bo młody człowiek miał uczciwe zamiary. Chciał się oże -
nić z Oleńką, w czym mu babuszka usilnie pomagała, zachwalając jego za -
lety i bogactwo. Przecież miał konia, sanie i dwa worki kartofli na zi -
mę, poza tym był bardzo chojny, bo każdemu z rodziny, od której wracali
dał po jednej marchewce.

Paczka była nienaruszona. W naszych warunkach była ona rogiem ob -
fitosci.

Prowiantura była pod opieką mamusi i ona starała się dzielić wszys -
tko na sprawiedliwe porcje, często sobie odejmując od ust.
Tatus', który miał duży zasób wiadomości z różnych dziedzin nauki, wypeł -
niał nam wieczory lekcjami. Nie omieszkął wpajać w nas zamiłowania do
muzyki klasycznej. Do snu miast bajek opowiadał nam zabawne historyjki
które zmyślał na poczekaniu.

Przed Wielkanocą nasz dobytek powiększył się o dwie kury. Przyniosły
je kobiety z kołchozu - napewno skradzione, ale kto tam nie kradł żeby
żyć - aby wymienić je na chleb dla dzieci. Tak bardzo pragnęły chleba,
ze nie zwracały uwagi na swoje zmarznięte nogi, owinięte łachmanami.
Kury dobrze się niosły, przez co nastąpiła duża zmiana w naszej diecie.

W czerwcu 1941 r. Hitler napadł na Rosję, co zmieniło nas auto -
matycznie z wrogów na aliantów. Zanim jednak zawiadomiono nas o amnestii
N.K.W.D. przeprowadziło u nas nie wiadomo dlaczego, rewizję. Oprócz
planu naszego placu pod budowę w Polsce, nic nie znaleźli, więc skonfis -
kowali nasz jedyny dowód posiadłości.

W kilka dni później kazali nam się wynosić w przeciagu 24-ech godz.
albo podpisać papiery na stały pobyt w Rosji.

Mamusia sprzedała Rosjanom co się dało, łącznie z kurami i z po -
mocą naszego majstra wynajęliśmy sanie, na których umiesciliśmy babcię,
młodszego brata - Zbyszka - i bardzo uszczuplony bagaż i ruszyliśmy na
południe Rosji, gdzie zaczęło się formować polskie wojsko. Nikt z nas
nie był przygotowany na tak uciążliwą podróż, ale bodźca dodawała nam
myśl o wolności i powrocie do Polski. Tą nadzieją żyliśmy przez cały
okres naszej tułaczki.

Po długich tarapatach dotarliśmy do Obu, gdzie po przedostaniu się
promem na drugą stronę rzeki, zatrzymaliśmy się na małej przystani,
Tam czekaliśmy na statek płynący do Bernału - najbliższej stacji kole -
jowej. W poczekalni trudno było znaleźć miejsce do siedzenia nawet na
podłodze. Całą noc nie zmróżyliśmy oka, bo nie było gdzie przyłożyć
głowy. Pamiętam, że byłam tak śpiąca iż pół życia gotowa byłam oddać

za kilka godzin snu.

Na drugi dzień 20-go października - pamiętam bo był to dzień imienin mamusi - odpłynęliśmy do Bernaułu, gdzie rodzice na spółkę z innymi rodzinami dążącymi do tego samego celu, wynajeli wagon towarowy, na który czekaliśmy trzy dni na ulicy przy torach kolejowych. Pierwszą noc dzieciarnia spędziła w poczekalni wbrew przepisom. Pracownicy kolejowi przyknęli oczu, bo nie mieli sumienia wyrzucić nas na mróz. Następnej nocy przygarnęła nas rosyjska rodzina. Mieszkali oni w jednym pokoju i kuchni, ale nie pożalowali nam ciepła domowego, za co ich do dziś błogosławię i załuję, że nie pamiętam ich nazwiska.

Trzeciego dnia odjechaliliśmy w stronę Semipałatyńska. Na postoju w Alma - Ata przyjęliśmy do wagonu byłego więźnia łagrów, starającego dostać się do punktu mobilizacji. Mężczyźni będący w łagrach byli w gorszej od nas sytuacji, gdyż wyszli z więzienia z pustymi rękoma. Podzieliliśmy się z nim resztką naszych sucharów, a potem żywililiśmy się cukrowymi burakami kradzionymi z mijających nas wagonów towarowych. Na jednej ze stacji spotkaliśmy pociąg wiozący rosyjskich żołnierzy, którzy podzielili się z nami chlebem.

Dojeżdżając do Taszkientu, ktoś zauważył mały rynek, więc tatuś wyskoczył z wagonu żeby cośkolwiek kupić do jedzenia. Z taką dumą niósł czapkę pomidorów, że nie zauważył jak mu pocig pokazał ogon. W Samarkandzie, która była celem naszej podróży, były takie tłumy ludzi śpiących na ulicach, że władze miejscowe nie pozwoliły nikomu wysiąść z pociągu. Wiedząc, że tatuś nas nigdy nie znajdzie jeśli pojedziemy dalej, wyskoczyliśmy na tyły torów i z pomocą młodego Polaka, który był w Samarkandzie od dłuższego czasu, dostaliśmy się do miasta. Po ulokowaniu nas na jednej z ullic gość ten przyniósł nam dzbanek zupy z kuchni w której pracował. Babcia mówiła, że Pan Bog nas wynagrodził za to, że podzieliliśmy się chlebem z biedniejszym od nas.

Tatuś znalazł nas tej samej nocy.

Zanim spadły pierwsze śniegi dostaliśmy się na kołchoz, ale przed tym mamusia sprzedała swój pierścionek i obrączkę agencji państwowej i jako zapłatę wzięła herbatę bez której Uzbegy nie potrafili się obejść.

Na kołchozie znów mieszkaliśmy w małym pokoiku z drugą rodziną, ale na szczęście nie długo. Nie tylko z powodu braku miejsca. Pani domu śpiewała przez cały dzień "Koła skrzypią, wóz się toczy... przy czym bardzo fałszowała. Tatuś mając sam bardzo dobry słuch nie wytrzymał nerwowo. Znalźliśmy więc swoją własną kibitkę, wprowadziliśmy bez drzwi, ale

z oszklonym oknem i piecem. Tatus po ulokowaniu nas w nowym pomieszczeniu, pojechał do punktu zbornego z myślą powrotu po nas po werifikacji. Nie był jednak w stanie tego uczynić, co przedłużyło nasz pobyt w kolchozie.

Zmuszeni byliśmy iść do pracy w polu. Rozrzucanie nawozu nie przedstawiało większej trudności, ale zbieranie waty okazało się bardzo bolesne dla niewtajemniczonych. Zanim nabraliśmy wprawy, ostre szypułki raniły nam palce do krwi. Poza tym musiałyśmy dostosować się ubiorem do tubylców, bo nam dziewczęta podnosiły suknie do góry, aby się przekonać czy mamy coś pod spodem.

Oleńka wpadła w oko naszemu sąsiadowi, który przysłał swoją matkę - wdowę po jakimś kapłanie - w swaty. Ofiarował za siostrę dwie kozy i obiecał jej kupić maszynę do szycia. Boże, co za majątek! Przez długi czas nie mogłam Oleńce podarować, że się nie poświęciła dla dobra rodziny, szczególnie, że chłopak był zupełnie do rzeczy.

Po wyczerpaniu się herbaty naszą dzienną dietą był koński szczaw i lebioda z domieszką dzikiego prosa, które było jedynym wynagrodzeniem za pracę w kołchozie. Czasami dożywiałyśmy się chodząc na pogrzeby jako płaczki. Niektórzy mężczyźni targali się na psy, ale były to odruchy ostatniej desperacji, bo psy były pół dzikie i ich właściciele też.

Syberia w porównaniu z Uzbekistanem była rajem. Tam przynajmniej mieliśmy czystą wodę do picia. Tu była woda z rowu, którą trzeba było precedzać przez szmatkę i gotować. A opał był na wagę złota.

Z zimą przyszły inne dolegliwości. Ręce przy najmniejszym dotyku przeszywał ostry ból. Mimo tego musieliśmy wrócić do pracy by dostać tą marną garstkę dzikiego prosa. Natychmiast po otrzymaniu naszej porcji, poszłyśmy z siostrą do młyna zemleć proso na mąkę. Młyn operował żarnami - proces bardzo wolny - więc długo musiałyśmy stać w kolejce głodne i zmarznięte. To też gdy stary Uzbek zaprosił nas na posiłek do swojej kibitki (rozmowa odbywała się na migi, bo mało kto z nich mówił po rosyjsku, a my znałyśmy tylko kilka słów po uzbecku.) przyjęłyśmy zaproszenie bez wachania. Dwaj Polacy nie mający do starego zaufania poszli z nami. Uzbek postawił przed nami miskę zupy z którą się szybko uwineliśmy. On coś stale do nas gadał, wskazując palcem na zupę i na moją siostrę. Ona myśląc, że chce pochwały swoich zdolności kulinarnych mówiła: jakszy, jakszy, co znaczy dobrze. Dopiero przy wyjściu przekonaliśmy się, że sprzedaliśmy siostrę za miskę zupy, którą z taką przyjemnością pałaszowaliśmy. Tak, jak Esau Jakubowi swoje pierworodectwo za miskę soczewicy.

Dzięki mężczyznom, którzy byli z nami udało się nam uciec, ale przez następnych kilka dni bałyśmy się pokazać we wsi.

Zabiegi filtrowania wody nie pomogły i babcia zachorowała na tyfus. Mając w gorączce, prosiła o kawałek chleba nie mogąc zrozumieć, że go nie ma. Dowiedziwszy się o istnieniu polskiej placówki w odległości kilku kilometrów, postanowiłam się tam udać i zdobyć dla babci chleba. Poszłam z kobietą z innego kołchozu, która zatrzymała u nas na odpoczynek. Na placówce magazyn był pełen prowiantu dostarczonego przez czerwony krzyż, ale "mąż zaufania" odsyłał wszystkich z pustymi rękoma a żywność sprzedawał na czarnym rynku. Kawałek chleba jaki zdobyłam podsunęła mi pracująca tam pani, samotna z małym dzieckiem, której byt zależał od pana Ż. Moja towarzyszka podróży, która nic nie dostała prosiła mnie o mały kęs chleba. Nie byłam w stanie jej odmówić, ale całą drogę modliłam się żeby mnie o więcej nie prosiła, bo koniecznie chciałam zanieść ten chleb chorej babci.

Sytuacja nasza pogarszała się z dnia na dzień. Punktem kulminacyjnym powzięcia decyzji opuszczenia kołchozu stało się nasze okno, które Uzbek chciał sobie przywrócić. Mamusia wybiegła do niego z siekierą i wystraszyła go, ale wiedzieliśmy, że Uzbek wróci uzbrojony i nie sam. Opuszczenie kołchozu stało się jedynym wyjściem. Przy staraniach i pomocy naszego sąsiada załadowaliśmy babcię na arbę i udaliśmy się na polską placówkę, gdzie odmówiono nam pomocy. Dopiero gdy mamusia zagroziła im zameldowaniem władzom wojskowym o ich postępowaniu z ludźmi, znalazło się dla nas miejsce.

Mamusia natychmiast zawiadomiła ojca o naszej sytuacji. Po wielu staraniach tatuś dostał kilkudniowy urlop i przyjechał po nas. Byliśmy jednak w ciężkiej sytuacji, bo nieprzytomnej babci nie byliśmy w stanie zabrać, a mamusia nie chciała jej samej zostawić. Pierwszy i ostatni raz wtenczas modliłam się o przyspieszenie czyjejś śmierci. Babcia zmarła następnego dnia i tam ją pochwaliliśmy.

Na stacji kolejowej odmówiono nam sprzedaży biletów, ale na szczęście nadjechał pociąg z wagonem wojska. Tatuś wsiadł do ich wagonu, a swój bilet oddał mamusi. Siostra, brat i ja jechaliśmy na gapę, schowani za bagażem. W Kiermine tatuś, któremu kończył się urlop znalazł miejsce na wojskowej ciężarówce i zabrał z sobą brata, którego natychmiast po przybyciu do Kenimech, gdzie znajdował się jego garnizon, umieścił w szpitalu. My szliśmy na piechotę. Mamusia po przybyciu na miejsce

poszła do szpitala, a ja w kilka dni po niej, na szczęście do szpitala wojskowego, gdzie była dużo lepsza opieka lekarska. Po trzech dniach i nocach wysokiej temperatury doszłam do przytomności i obudziłam się z ogoloną głową. Dzięki Bogu wszyscy przyszlismy do zdrowia. A umierali tam ludzie jak muchy. Były dni, że ks. kapelan nie opuszczał cmentarza, czekając na sznur nieboszczyków przy nowo wykopanych grobach.

Wojsko pomagało rodzinom jak mogło, dzieląc się swoim prowiantem dostarczonym przez Anglików z którego duży procent zostawał w re-kach rosyjskich.

Dowództwo polskie starało się o przeniesienie wojsk polskich za granicę, czemu się władze rosyjskie sprzeciwiały. Jedynie dzięki usilnym staraniom gen. Andersa plan ten doszedł do skutku.

Rosjanie robili nam trudności do końca, odmawiając rodzinom wojskowym miejsca w pociągach i na statku do Pahlewi. Musielismy jechać do Krasnowocka na własną rękę. Tam mieliśmy być przydzieleni do transportu którym płynął tatuś, ale nasz pociąg przyszedł z dużym opóźnieniem, a statek w międzyczasie odpłynął. Następne transporty zabierały swoje rodziny, więc dla naszej grupy nie było miejsca.

W Krasnowocku był upał, a wodę do picia trzeba było kupować. Oddawaliśmy za wadę czekoladę, jaką mieliśmy z prowiantury wojskowej.

W końcu naszą grupę podzielono na mniejsze jednostki i umieszczono nas na kilku statkach, na których był taki ścisk, że wszyscy siedzieli w kuckach na pokładzie. Ale nikt nie narzekał. Przecież płyneliśmy ku wolności!

Teresa Oszurko
Teresa Oszurko

© ARCHIWUM WSKOCHNIE

© ARCHIWUM WSKOCHNIE